

**TADEUSZ
KONWICKI**



**SENNIK
WSPÓŁCZESNY**

Tadeusz Konwicky

SENNIK WSPÓŁCZESNY

Wydawnictwo Estymator
Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67562-21-8

Copyright © for the text by Maria Konwicka (2022)

Copyright © for this edition by Estymator Jacek Chołoniewski (2022)

www.estymator.net.pl

Publikacja elektroniczna na podstawie edycji wydawnictwa Agora, Warszawa 2010,
do której tekst, na podstawie rękopisu i wcześniejszych wydań, opracował
Przemysław Koniecki, przywracając treści usunięte przez cenzurę

Wydanie I: Iskry, Warszawa 1963

Projekt okładki: Olga Bóldok

Nie otwierałem oczu i nie wiedziałem, jak rozbudzony z przedwieczornego snu, gdzie jestem i kim jestem. W ustach piekł jadowity smak żółci, po skroniach przebiegały łaskotliwe stonogi pulsu. Leżałem w ciężkim worku z bólu i potu.

– Patrzajcie, on rucha się! – krzyknął kobiecy głos.

– Oj nie smakuje jemu, nie smakuje – przyświadczył mężczyzna. – Namarszczył się jak ten kiernoz pod obuchem.

– Wydalil z siebie całą substancję, panie Korsak – odezwał się znajomy baryton. – Jak nie pomagało prawą ręką, to użyłem protezy. Do łokcia wsadziłem w paszczkę. Tylko nikiel dzwonił o zęby. Mogłem mu popieścić trzustkę.

– Ach, u nas, panie, na wschodzie, to ludzie byli nerwowi – westchnęła kobieta.

– Pamiętam, jeden taki urzędnik państwowy na Śnipiszkach, świeć panie nad jego duszą, bardzo delikatne miał usposobienie. Rozgniewał się raz, panie, w pracy u siebie, czy może w domu na żonę paskudną, dość, że napił się denaturatu czystego, a potem, panie, jeszcze sobie w łeb strzelił z państwowego rewolweru. I myśli pan – koniec? Taki był znerwowany, że poleciał jeszcze na stację, a do kolei było ze cztery kilometry, i rzucił się pod pociąg. W tamtych czasach, panie, u nas na wschodzie ludzie spokojnie żyli i pociąg leciał może dwa albo trzy razy na dzień, trzeba było jeszcze szczęścia, żeby tak trafić.

– My tu gadu-gadu – wtrącił baryton, lecz przerwał mu drugi męski głos:

– Cśś, cicho, on budzi się.

Wolno uniosłem powieki. Przed łóżkiem stała zapłakana pani Malwina Korsakówna, obok jej brat Ildefons jak zwykle bez marynarki, w staromodnej koszuli niezapiętej pod szyją, a nieco z boku partyzant wycierający protezę w ręcznik.

– Gdzie ja jestem?

– Wróciłeś ze służbowej podróży – rzekł partyzant i rzucił ręcznik na moje łóżko.

– Czy to ładnie? – szepnęła pani Malwina. – Niemłody człowiek, siwe włosy na głowie i tak przeciwko prawom boskim...

– Co się stało? – spytałem niepewnie.

– Oj nie bresz, pan, nie bresz – rzekł surowo Korsak i dmuchnął w zielonkawę wąsy. – Ludzie może i zapomną, ale Pan Bóg nigdy.

Za ich plecami był obraz olejny, jaki wisi w każdym starym domu, ze śniegiem, z koleiną sań, z nagimi brzozami, z czerwonym słońcem zachodu.

Odwróciłem się twarzą do ściany.

– Coś musiałem zjeść.

– Ja już wiem, co ci zaszkodziło – powiedział partyzant. – Twoje szczęście, że cie Korsakowie usłyszeli.

– Ach, panie, jak on chrapał! Zupełnie jak nie człowiek – wzdrygnęła się pani Malwina. – Od razu wiedziałam, że to nienormalny sen.

– Oglądałem u nas na froncie w siedemnastym roku takich samych – dodał Korsak. – Tylko wtedy gazy puskali, iperyty. Pan młody, to może i nie pamięta.

– Widziało się niejedno, dziadku – rzekł partyzant.

Uniosłem się na łokciach, potem opuściłem stopy na podłogę. Rozgrzany słońcem prostokąt okna zakolysał się gwałtownie przede mną. Spróbowałem stanąć. Oślizgłe zimno ścisnęło mi raptownie czaszkę. Uczyniłem niepewnie kilka kroków w kierunku drzwi i wtedy nagle ustąpiła pode mną ziemia, zatoczyłem się do tyłu, gruchnąłem ciężko głową o wiśniowe deski.

Gdy się ponownie ocknałem, Korsak i partyzant wlekli mnie z powrotem do łóżka. Pod lewą pachą czułem chłód protezy.

– Powoli, on będzie womitować – przestrzegła pani Malwina.

– Czym, zacna samarytanko? Niech pani lepiej poda zsiadłe mleko.

Potem wlewali mi do ust coś kwaśnego i słonego zarazem, coś jak zwarzone łyż. Korsak uklepywał na mnie rozgrzaną, przepełnioną chorobą koldrę. Partyzant manipulował energicznie przy swojej protezie.

Wtedy przyszedł Romuś. Właściwie nie przyszedł, lecz bardzo długo stawał się obecny w tej izbie. Ruchy jego były tak leniwe i powolne, że można było analizować do woli ich poszczególne fazy. Każdy niezmiernie ospały i niedokończony krok podkreślany zostawał okrągłą rotacją biodra. Kiedy w niewidoczny sposób ukończył swój proces pokonywania przestrzeni i zatrzymał się przy drzwiach, uniósł niezdeterminowane dłonie do góry, później ze zniechęceniem pomacał ogromną i senną czuprynę.

– Idą – powiedział.

– Ciebie to tylko po śmierć posyłać – rzekła pani Malwina i szybko uderzyła się rozcapierzonymi palcami w usta. – Boże, co ja mówię...

– A może i lekarza zawołać? – proponował partyzant.

– Na co, panie, komu to potrzebne – odparła Korsakówna. – Ja, dzięki Bogu, sześćdziesiąt pięć lat żyję i doktora na oczy nie widziałam. Jak mu będzie sądzone wyżyć, to wyżyje. Dzisiejsi lekarze, panie, to tylko człowieka szybciej do truny potrafią wpędzić. U nas, panie, na wschodzie, to inna medycyna bywała.

– Słyszałem, że u was gorące onuczki przykładano najczęściej – powiedział partyzant.

Pani Malwina stropiła się odrobinę, nie mając pewności co do intencji partyzanta.

– No pewnie, ciepło w chorobie rzecz najważniejsza – odparła wymijająco.

Romuś poczochnął się plecami o framugę drzwi i niczym senna mara długą chwilę wybywał z pokoju. Potem widziałem przez okno, jak na drodze zgarnia szarżące liście łopuchu i lunatycznie układa się w ich miąższu obracając twarz ku słońcu lejącemu gęsty, jesienny żar. Jakiś błąd, zaintrygowany bezwzględnie leżącym ciałem, jał krążyć nad głową Romusia, który nie otwierając oczu odganiał go słabymi prychnięciami przez zdrętwiałe wargi.

– No i jak, synu partii – spytał partyzant – czujesz się lepiej?

– Nie wiem. Chyba lepiej.

– Wyglądałeś czerstwo, zdrowo, prawdziwy junak. I co cię tak nagle chwyciło? Milczałem.

– Panie, wygląd nic nie mówi – wtrąciła się Korsakówna. – U nas, na wschodzie, pamiętam...

Przelknąłem lepką ślinę.

– Chcę zostać sam.

– Kaprysi – rzekł z domyślnym uśmiechem Korsak.

W tym momencie nadszedł torowy Dębicki. Postawił laskę w kącie i zdjął czapkę kolejarską, z której sypnął się kurz w skośny promień słońca.

– Co dobrego?

– Odratowaliśmy, panie Dobas – rzekła Korsakówna.

Torowy spojrzał na nią posępnie.

– Nazywam się Dębicki.

– Tak, tak, wiemy. Ale zawsze po staremu zręczniej. Przywyczka to druga natura – tłumaczyła się zmieszana.

– A milicja była?

– Po co tu milicja? – zdziwił się Korsak.

– Pan torowy lubi leczyć innymi środkami – rzekł dwuznacznie partyzant.

– Cóż to za aluzje?

– Jakie znowu aluzje? Tak sobie powiedziałem. Upał, duszno, człowiek czasami odezwie się bez związku, a pan zaraz – aluzje...

– Dobrze, dobrze, ja już wiem, co wam w głowie.

Przy drzwiach odezwało się dyskretne pukanie.

– Czy można?

Zza futryny ukazała się ogromnie długa, porosła rzadkim, żółtym włosiem twarz hrabiego Paca.

Z wielką galanterią i ostentacją ucałował dłoń pani Malwiny, a potem witał się grzecznie z obecnymi. W końcu podszedł do łóżka.

– O pardon, to jest, chciałem powiedzieć, przepraszam – rzekł zacinając się, spojrzawszy na mnie.

– Proszę wyjść. Chcę zostać sam – powiedziałem cicho.

– Oho, znowu kaprysi – stwierdził Korsak.

– No dobrze, ale sam z siebie to on przecież tego nie zrobił – rzekł torowy.

– Może z jakichś pobudek klasowych? – podsunął usłużnie partyzant.

– Wy mi tu nie prowokujcie – lypnął nieprzyjazytnym okiem torowy. – Ja was nie pytam.

– Nic mi nie jest – powiedziałem z trudem. – Idźcie, idźcie do jasnej cholery. Nie widzicie, że jestem chory.

– Chory – powtórzył z akcentem partyzant. – Mowa.

– Kto go zna najdłużej? – spytał torowy.

Przypatrywał się natarczywie obecnym. Wszyscy milczeli. Pierwsza załamała się pani Malwina.

– Panie Dobas...

– Dębicki.

– Dębicki... Przyszedł jednego razu i pytał o pokój. Wyglądał jak należy, przy halsztuku i z teczką, my z bratem prości ludzie, no i wynajęliśmy. Kto mógł wiedzieć?

– Przecie nie ma takiego prawa, żeby nie wynajmować – dodał Korsak.

– Może jednak wyjdźmy – wtrącił hrabia Pac.

– Co pan taki delikatny? – spojrzał nań ciężko torowy.

– Ja delikatny? – przeraził się hrabia.

– A kto?

– Psia mamać! – zaklął gorliwie Pac.

Partyzant szczerknął protezą o metalową poręcz łóżka.

– Dziwny to on jest.

– O mnie pan mówiówi? – jęknął hrabia.

– Odejdź, przeżytku historii – rzekł partyzant – i nie narzucaj się swoją osobą wyrozumiałej władzy ludowej. Jeśli chodzi o denata, to chyba nikt nic nie wie.

Podniosłem się na łokciach.

– Panowie, idźcie stąd, bo szlag mnie trafi. Dajcie mi spokój.

– Oj kapryśnik, kapryśnik – uśmiechnął się wyrozumiale Korsak.

W tym momencie brzęknęło coś na werandzie i wszystkie oczy zwróciły się w tę stronę. O wyslizgany próg potknął się sierżant Głwko, wydając różnorakie łomoty i dzwonięcia swoim służbowym oporządzeniem. Użył mocniejszego słowa i zasalutował.

– Żyje? – spytał.

– Wy zawsze, Głwko, ostatni – rzekł torowy.

– Rozerwać się nie mogę, z przeproszeniem.

Postał chwilę, przypatrując mi się z oficjalną uwagą.

– Rusza oczami.

– I nawet wyraża się – ostrzegła pani Malwina.

– No to po co mnie Romuś wołał? – jął zapinać skórzaną torbę i poprawiać na sobie skomplikowany rynsztunek.

– Ja już swoje lata mam – wtrącił się Korsak rozdmuchując zzieleniałe wąsy – i wiem, co w takich razach trzeba. Jaka by władza nie panowała, jeśli kto podniósł rękę na siebie, zawsze wołano czy stójkowego, czy landżandarma, czy, wstyd powiedzieć, policjanta.

– Ludzie, bo nie wytrzymam – jęknąłem. – Panie Głównko, niech ich pan usunie, głowa mi pęka.

– No tak, z przeproszeniem – skrzypnął podeszwami zdetonowany sierżant.

– Róbcie swoje, Głównko – rzekł surowo kolejarz.

– A co mam robić? Człowiek zameldowany przepisowo, z przeproszeniem.

Dokument osobisty posiada, mówi do rzeczy i włada członkami.

– Może jednak wyjdźmy? – szepnął hrabia Pac.

– Co się tak śpieszycie?

– Ależ broń Boże, panie Dębicki.

Poczułem nagle mdłości. Z raptownym bulgotem skryłem głowę między poduszkę a zimną ścianę.

– Ohoho – lakonicznie skonstatował Korsak.

– A przedtem tak chrapał, tak chrapał jak zwierz.

– Będziecie robić, Głównko? – spytał torowy.

– A co mam robić? Ledwo na nogach stoję, z przeproszeniem. Cały dzień bez ciepłego w ustach. Żona kazała wracać na czwartą, a tu która teraz?

– Kwadrans na siódmą – poinformował hrabia.

– Merci – rzekł Głównko.

Hrabia Pac zadygotał.

– Co to znaczący?

– Co?

– Nono to merci.

– Z przyzwyczajenia. Byłem w obozie z Francuzami, panie hrabio.

– Ja protestuję. Jestem Kokowski, z biednej rodziny.

– Ech wy, zupełnie jak dzieci – westchnął torowy.

Dźwignąłem się na łóżku. Chwilę łapałem z trudem powietrze patrząc nienawistnie na zgromadzonych wokół mego łóżka.

– Ludzie, bo nie ręczę za siebie. Ludzie, jestem chory, boli mnie wszystko. Niech was nagła krew zaleje.

Korsak uśmiechnął się pocziwie i uniósł palec do góry.

– Ohoho. Kaprysi.

– No to co robić? – spytał zbity z tropu torowy.

Milczeli zawikłani w niepewną sytuację. Wreszcie pani Malwina rozjaśniła się, tknięta zbawczą myślą.

– Może zakąsimy?

– Zakącić można – odparł nieśmiało sierżant Głównko. – Od rana, z przeproszeniem, nic w ustach nie miałem.

Korsakowie zakrzętnęli się żywo po mieszkaniu, zdmuchnięto pył ze starego radia, które dawno już straciło cechy produktu przemysłowego. Przyniesiono kiszzone ogórki pływające w sosie pełnym naci kminkowej, kawałek surowej, dobrze uwodzonej szynki z piękną kością jak pięść sterczącą z delikatnego, wiśniowego mięszu, znalazła się i kwaszenina z grubą na palec warstwą białego tłuszczu, babka kartoflana przyrumieniona ze wszystkich stron, nadziana kawałkami domowej słoniny, no i chleb własnego wypieku na tegorocznych już liściach klonowych. Ustawiono to wszystko na zdeformowanej skrzynce radiowej. Torowy poszukał noża,

jął zeskrobywać jego ostrzem złote liście z bochna. Osoby wrażliwsze, jak na przykład pani Malwina, jeły protestować, zatykając uczulone i delikatne z natury uszy. Torowy śmiał się jowialnie, czynił tym nożem różnorakie aluzje, co nie bardzo licowało ze świętym obyczajem krajania chleba.

Widok tego jadła i skwapliwej krzątania wokół niego pogorszył moje samopoczucie. Odwróciłem się ciężko do ściany.

– Niedobrze mi.

Ildefons Korsak, z połówką ogórka w ustach, oblany już smakowitym sosem, zbliżył się natychmiast do łóżka.

– A może też przekąsi, a?

Milczałem.

– Było, minęło, trzeba zapomnieć – rzekł surowo. – A pieścić się nie uchodzi.

Partyzant chrząknął kilka razy, wreszcie powiedział z pretensją:

– Zakaszamy, zakaszamy i nic.

Uczyniła się nagle cisza, pełna skupienia, intensywnego wysiłku myślowego.

– Ach Boże, gdzie moja głowa! – krzyknęła pani Malwina uderzając się płasko dłonią w czoło. – Na śmierć zapomniałam.

Już wybiegła, już wróciła z ciemnozieloną, obrosłą kurzem flachą.

– Nonono – pochwalił partyzant.

– To już nie to, co kiedyś. U nas na wschodzie, w Ejszyszkach, tam dopiero trzymałam wódeczkę – usprawiedliwiała się fałszywie pani Malwina.

– Pokosztujemy, zobaczymy – rzekł partyzant,

– Ale czym odkorkować? A tu jeszcze zalakowałam na amen.

Poczęto szukać scyzoryków, wybuchł gwar uprzejmych przekomarzań, który przebił energiczny baryton partyzanta:

– Pani pozwoli. Ja mam czym.

Stuknął protezą w dno flaszki, korek wyskoczył pod sufit, kilka kropli spadło na frencz torowego i świetlistymi strużkami pociekło przez zacne sukno munduru.

– Nie szkodzi, nie szkodzi, lepiej na mnie niż na dzieci.

– Ach Boże, skąd tu dzieci?

– Tak sobie mówię, żeby było weselej.

– Nie mamy kieliszków, bo my starsi ludzie...

– Mogą być szklaneczki, zdrowiej pić jednym haustem niż tak po troszeczkę.

Umilkli zapatrzeni w gęsty płyn, w którym szamotało się czerwone światło zachodzącego słońca.

– No to co? – rzekł nerwowo partyzant.

Torowy przymknął powieki i szepnął:

– No to abyśmy.

Zagulgotało. Odezwały się serdeczne chuchnięcia, pani Malwina zakaszłała się jak nakazuje starodawny obyczaj.

– Uch, ambrozja – stęknął partyzant.

– U nas na wschodzie... – rozpoczęła znów Korsakówna, lecz torowy przerwał jej od razu:

– Nie wspominajmy przeszłości. Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr.

Trzeba żyć dniem dzisiejszym.

– Ale ja bez złej myśli. Pan wybaczy, człowiek stary, powie czasem coś nie tak.

My gazety, i owszem, czytamy, wiemy, że dzisiejsze czasy to nie to samo, co dawniej.

– No to co? – rzekł znowu niecierpliwie partyzant.

Zrobiło mi się słabo i mdło. Jęknąłem widocznie, bo wszyscy raptownie umilkli.

– A niech tam – powiedziała pani Malwina patrząc uważnie w moją stronę. –

Proszę sobie nie robić subiekcji. Później posprzątam.

– No to jego zdrowie – rzekł torowy. – Kto się urwie ze sznura, pięknego da nura. Abyśmy.

Hrabia zachichotał nerwowo.

– A cóż się tak wyszczerzacie? – spytał chmurnie torowy odejmując szklaneczką od ust.

– Ja nic, szanowny panie kierowniku. Sam nie wiem, co się stało.

– Teraz wszyscy jednakowo dobrzy. Możesz pan pięć uniwersytetów skończyć, a jak ja pocisnę, to pocisnę.

– Co pan pociśnie, nie zrozumiałem? – wtrącił się partyzant.

– Ja was dobrze znam, Krupa – odparł posępnie torowy. – I wy się liczcie ze słowami.

– Panowie, panowie – mitygowała pani Malwina – po co zaraz z polityką, czy nie lepiej wypić i zakąsić.

Wypili, chuchnęli.

– Merci – powiedział sierżant Głównko i sięgnął po ogromny glon babki kartoflanej.

U kołchozie dobra żyć:
adin kosić, wosiem śpić.
A kak sołnce prypiacze,
to i hetyj uciacze...

– zaśpiewał nagle cieniutkim głosem Ildefons Korsak i osunął się na ziemię. Siostra, jakby przygotowana na taki obrót sprawy, zręcznym ruchem chwyciła go pod pachy, ustawiła pod ścianą.

– Co on śpiewa? – spytał torowy ścierając sos z brody.

Pani Malwina przycisnęła energicznie brata do futryny okiennej.

– A takie głupoty, nie warto nawet mówić.

– Nie słyszałem nigdy tej pieśni – upierał się torowy.

– On słabiutki, panie kochany, sam nie wie, co śpiewa. Jemu jeden kieliszek potrzebny i już rosyjskie słowa wymawia, a czasem nawet i zabłąźni. To jeszcze z pierwszej wojny światowej, jak był na Syberii.

– Pani zawsze opowiadała, że w czternastym roku pod Wilhelmem służył.

– Święta prawda, Boże mój kochany. Tylko najpierw, w 1905, to za cara z Japończykami bił się, a potem wyjechał do Niemców roboty szukać, bo wszędzie była bieda. A potem u Niemców wzięli go na wojnę i trafił do plenu. To go Kozaki aż na Syberię zaparli. A tam, panie, nie przymierzając, głód i nędza były. A on, nasz Ildek, honorowy człowiek i okropnie ambitny. No to mówi: jak nie ma co jeść, to niech i nie będzie kiszek. I poszedł do doktora i kazał sobie – wstyd powiedzieć – żołądek wyciąć.

– No, pani Korsak, nie nam taką ciemnotę wstawiać – obruszył się sierżant Głównko.

– Matka Przenajświętsza świadkiem, że tak było. A pan Jasiu Krupa też ręki nie ma i żyje.

– Ale pani przyrównała. Gdzie ręka, a gdzie brzuch.

– Odczepcie się od mojej ręki – warknął partyzant.

– Nikt nie chce pana krzywdy – rzekł z godnością Głównko. – Rozmawiamy o naukowych sprawach, z przeproszeniem. No niech pan powie, panie hrabio, czy to do czegoś podobne?

– Nienie wiem, nienie wiem, baronie – odparł hrabia i szczerwieniał.

– Ja panu nie ubliżam – podniósł głos sierżant Głównko.

– Ja także.

– Użyłeś pan słowa.
– Uciszcie się, arystokracjo powiatowa – wtrącił się partyzant. – Wódka już ciepła, a oni naukowych obserwacji dokonują.
– Tylko broń Boże Ildeczkowi nie dawajcie. Normalnemu mężczyźnie zanim wódka do nóg dojdzie, to i parę godzin minie. A on kurczaczek, ledwo kieliszeczek przełknie, już słabiutki i niezdrow.

U Kałchoz darożka prosta,
A z Kałchozu kasiakom.
U Kałchoz idziosz abutyj,
A z Kałchozu basiakom...

– zaśpiewał Ildefons Korsak i drgnął w kolanach, ale silne ręce siostry powstrzymały go przed upadkiem.
– Pani posadzi go na łóżku koło chorego i będzie spokój – doradził sierżant Główko.

Poczułem jakiś ciężar w nogach, ktoś z rozpaczą szamotał się chwilę, uciszany szeptem pani Malwiny:

– No nie drejkaj się, leż cicho, a to wstydu tylko narobisz.

Widać słowa siostry podziałały kojąco, gdyż Ildefons Korsak ucichł i czułem tylko jego wilgotny oddech na swoich stopach.

Torowy chciał sięgnąć po szklaneczkę, ale niepewna dłoń omsknęła się raptownie, zrzucając talerzyk z kwaszeniną.

– Hm, co to ja chciałem powiedzieć? – rzekł stropiony.

– Nic nie szkodzi, to na szczęście – skwapliwie podchwyciła pani Malwina.

– Ale nie wiem, czyje zdrowie pić. Co to dziś za dzień?

– No, jego dzień, jego – rzekł sierżant Główko wskazując mnie palcem.

– Czyj?

– No jego.

Torowy zbliżył się do mnie, chwilę patrzył z uwagą. Na jego twarzy znać było ogromny wysiłek łowienia którejś z szybko przemykających myśli. Wreszcie machnął dłonią z rezygnacją i powiedział:

– Abyśmy.

Hrabia Pac zachichotał raptownie.

Torowy zwrócił się w jego stronę i zatrzymał na nim uporczywe spojrzenie.

– Papanie kierownik, to chychyba drugie chrzciny.

Torowy ponownie machnął wolną ręką. I nie spuszczać wzroku z hrabiego dotknął wargami szklaneczki. Potem ją opuścił, posmakował językiem kroplę płynu, która została na wardze, i rzekł:

– Widać nie jest wam źle, jeśli w głowie trzymają się takie głupstwa. Jakbyście musieli potyrać tak, żeby w tyłku trzasło, toby wam wszystko lepiej smakowało... Abyśmy.

Przełknął wódkę, chuchnął.

– Do roboty to trzeba zapraszać jak jakich panów. A nie skrzywdź którego, bo zaraz w gazetach napiszą. Jeszcze łaskę robi, że pracuje. Wziąć by tak was na zapomogową wasserzupkę... Przypomnieć, co bywało...

– A fe, wstyd, nie godzi się kłaść marksistowskich ogólników w karczemnej kompanii – rzekł partyzant.

Torowy zmieszał się. Ugryzł kawałek ogórka, żuł go mozolnie.

– Ja was dobrze znam, Krupa – powiedział bez przekonania.

Ildefons Korsak poruszył się w nogach łóżka, zaburmotał, szarpnął się gniewnie, walcząc z jakimś zwidem sennym. Wreszcie jął gramolić się w moją stronę.

– Wam to dobrze – westchnął Główko. – A na mnie żona czeka. Miałem być w domu o czwartej. Ech, życie, życie...

Korsak stęknął i zwałił się przy mnie, szukając siwym łbem poduszki. Z ogromnym trudem przewróciłem się na drugi bok. Widziałem przed sobą w gęstniejącym mroku podłogę przeciętą szerokimi szparami, kawałek ogórka w półkolu rozsypanych pestek. Podłoga ta wydała mi się niezmiernie chłodna i przytulna. Odepchnąłem się łokciem, spadłem na kolana. Przemagając zawroty głowy wolno powstałem. Za drzwiami werandy widziałem krzaki bzu i rude pasmo nieba oświetlonego słońcem skrytym już poza horyzontem. Trzymając się ściany przeszedłem izbę i wydostałem się do kleci przypominającej inspekt szalonego ogrodnika. Poczulem gorący zapach dojrzałych kasztanów.

Było mi bardzo niedobrze. I chciałem, żeby to już ustało. Rozkołysanym wzrokiem szukałem rozpaczliwie tego miejsca i tego sposobu, który by skrócił moje cierpienie.

Dostrzegłem płot wyszczerzony nieprzyjaźnie na tle jasnego nieba. Zataczając się ruszyłem w tamtą stronę. Pragnąłem zapamiętać te sekundy rozciągnięte w nieskończoność, żeby wiedzieć, jak wygląda koniec. To ostatek wiedzy, który potem nigdy już nie jest przydatny.

Potknąłem się w suchej trawie i zwałem na ziemię z tą niepotrzebną myślą, że przy ziemi jest chłód, pachnący rzeką chłód.

Regina stanęła w drzwiach mrużąc oczy przed słońcem. Była wysoka, dorodna, ubrana tak, jak się ubierano gdzieś tam w świecie. Nadmierny makijaż i cienkie bruzdy w kątach ust świadczyły jednak, że nosi w sobie nieustanny lęk. Kolebała się chwilę na progu nie otwierając powiek. Wyglądało to, jakby lękała się obudzić.

– Dzień dobry – rzekła pani Malwina Korsakówna. – Grzeje słońce, aż strach. Najstarsi ludzie nie pamiętają takiej jesieni.

Regina podniosła ciężkie od tuszu rzęsy i w tej chwili ruchy jej nabrały zalotnej miękkości. Szeleszcząc halką zbiegła z dwóch kamiennych schodków, stanęła w środku podwórza. Przeniósłszy ciężar ciała na lewą nogę, chwiała prawym biodrem, co nadawało spódnicy kolisty kształt

– Dzień dobry, dzień dobry – powiedziała. – Naprawdę piękna jesień.

– Nie ma się co cieszyć. Jabłonie drugi raz kwitną, poziomki w lasach zatrzęsienie, ptaki, co odleciały, z powrotem wracają. Niedobrze. Będzie z tego jeszcze jakieś nieszczęście.

– Wierzy pani w ten koniec świata? Ludzie stale coś plotą.

– Ludzie gadają, aż wygadają. A pani myśli, że jak przyjdzie koniec, to tak nagle, z piorunami, z rozstępowaniem się ziemi? Przecież może to wszystko wyjść powolutku, stopniowo. Słyszysz pani, co różnych nieszczęść na świecie, wojen, pożarów, katastrofów? Bóg jeden wie, jak bliski jest ten koniec.

– Ja tam nie myślę, co będzie jutro.

Przy furtce bardzo powoli zatrzymał się Romuś. Oparł ciężko łokcie na zębatach sztachetach i zapatrzył się w podwórze.

– Młodym to i morze do kolan – rzekła pobłaźliwie Korsakówna.

Regina ruszyła zamasyście biodrem słuchając szklistego szelestu halki. Romuś przy płocie przełknął głośno ślinę i przestąpił z nogi na nogę.

– A ty co badziasz się pod płotami? – ofuknęła go staruszka. – Weź się za jakąś robotę i nie obrażaj Pana Boga.

– Nudzi mnie się – odparł Romuś, powoli zdjął łokcie z płotu, uczynił jeden prawie niedostrzegalny krok, potem drugi w stronę torów kolejowych, za którymi spadały ku Sole łąki zmierzwione kępami olszyn.

– A u państwa wczoraj słyszałam jakiś ruch.

– Szkoda mówić – szepnęła pani Korsakówna.

– Wróciłam późno z zabawy, bo byłam w Podjelniakach. Ach, tam jest miło, i dużo młodzieży, przed chłopcami opędzić się nie można, wytańczyłam się za wszystkie czasy, przychodzę więc do domu, a tu za ścianą krzyki, śmiech, śpiewanie. U państwa zawsze tak cicho. Czy to imieniny, bardzo przepraszam, nic nie wiedziałam?

– Szkoda mówić – powtórzyła staruszka. – Pan Paweł, nasz sublokator, zaniemógł.

– Ten taki ponury.

– Cśś, on tu leży.

I pokazała mnie, skrytego w cieniu przejrzałych słoneczników. Chciałem udawać, że drzemię, lecz okazało się to daremne. Posłyszałem nad sobą kokieterjny przyspiew halki.

– My sobie żyjemy pod jednym dachem i wcale się nie znamy.

– Mh – stęknąłem.

– Słabo pan wygląda. Cóż to za chorowanie w taki piękny czas?

– Pewnie zjadł coś niestrawnego – powiedziała szybko Korsakówna.

– Ale przecież czoło całe sine.

– Przewrócił się, biedny, ze słabości.

Na podwórzu ukazał się Ildefons Korsak. Patrzył gdzieś w bok, udawał, że nas nie dostrzega. Niepewnym kroczkiem pobiegł między składziki dmuchając śpiesznie w obwisłe smutno wąsy.

– Ja chyba znam pana?

Uśmiechnąłem się krzywo.

– Nie mieszkał pan w Bogatyni?

– W wielu miastach mieszkalem, ale w Bogatyni nie.

– Przyjechał pan tu do nas chorować? – spojrzała zalotnie.

– Zdarza się.

– A nie znał pan czasem mego męża, Dąbrowskiego? On był dyrektorem w wielu miejscach, bardzo znany człowiek.

– Nie słyszałem.

– Rozwiodłam się z nim trzy lata temu. Dobry człowiek, nie można powiedzieć, ale prymitywny. A już zupełnie nie miał podejścia do kobiet. Poduszka panu wypadnie, proszę się nie ruszać, o, już, chwileczkę, zaraz poprawię.

– Dziękuję pani.

– Proszę nie dziękować. Wezmę pana na zabawę, kiedy pan wyzdrowieje. Ludzie tutejsi mówią – „wieczorynka”. Zabawne, prawda?

– Dziękuję pani.

– Nic innego pan nie umie powiedzieć? A wygląda jakby ze stolicy. Ojej, zagadaliśmy się, tam na mnie sklep czeka. W dzisiejszych czasach każdy musi mieć gdzieś zaczepienie, choćby był stworzony do czegoś innego.

Zakręciła się w miejscu, poskoczyła do furtki i tam, na ulicy dopiero, przyjęła chód wystudiowany: niedbały, okrągły, podkreślający zalety urody.

– Tak, tak – westchnęła pani Malwina – ze sto razy już wypytywała o pana. A skąd, a kto, a jakie wykształcenie, a czemu pracuje z prostymi na kolei. Oglądała pana koszulę, co wisiała na sznurze i tylko głową kręciła. Powiada, że na kołnierzu zagraniczne napisy.

– Taką kupiłem na bazarze.

– Ja tam do cudzego nie zaglądam.

Pomilczała chwilę, skubiąc zeschnięte płatki z wielkiego jak miednica słonecznika. Gdzieś w gęstwie zieleni pachnącej rozprażoną rzeżuchą jazgotały pasikoniki.

– Nie moja to sprawa i lepiej zapomnieć – powiedziała cicho. – Ale pan jeszcze młody, przed panem życie. Kto wie, co pana jeszcze czeka. Może jaki los niezwykły, może szczęście wielkie, może nagroda od ludzi? Kto to wie, Bóg tylko jeden. Czasem nadejdzie chwila, że życie zbrzydni. Potem minie rok i człowiek śmieje się, że był durny. Może i każdemu różne myśli przyjdą którego dnia do głowy. Ale czy my jedni na świecie? Wszystkim tak samo.

Patrzyłem w niebo nad sobą, tak intensywnie niebieskie i tak niepasujące do tej ziemi wyszarzałej, drzew poczerniałych. Środkiem rósł biały warkocz tkany przez niewidoczny samolot odrzutowy, który skryty w błękie podążał niestrudzenie ku północy.

– Ja to wiem – powiedziałem cicho. – Wiem to i wiele innych rzeczy.

– Przepraszam, że po prostu mówię, gdzie mojemu rozumowi do pana. Ale napatrzyłam się ja w życiu wszystkiego. Może dlatego sobie szczęścia nie wybrałam... Ot, zaszedłby pan kiedy do pana Józefa Cara, to mądry i święty człowiek, umie on ludziom poradzić i świętości udzielić.

– Ten baptysta?

– Ach Boże, co pan mówi, jaki baptysta? To prawdziwy anioł i rozumiejący prostego człowieka. Ani on pieniędzy od nikogo nie bierze, ani niczego nie wymaga, ani oczu sztuczkami nie zamydla.

– Ten, co nad rzeką mieszka?

– On. Nastał tu jakie trzy lata temu. I coś w tym musi być, bo bardzo go ludzie potrzebowali. U nas, panie, różny naród, miejscowych na palcach policzyć. Każdego z innej strony życie przyniosło.

– To znachor?

– Niech pan nie bluźni. Czy ja taka głupia, żeby w znachorów i szeptunów wierzyć? Pan z nim pomówi, pan sam zobaczy.

Pod niebem przeciętym białym gościńcem dymu szamotały się drobiny jaskółek. Nad słonecznikami szybowały długie nici babiego lata. Rozwidlone pasemko schwytało moją rękę leżącą na sosnowym, krwawiącym żywicą pieńku.

– Pan do niego musi iść. Widać sądzone było panu tu przyjechać.

Milczałem.

– On, ludzie mówią, nawet z Huniadym spotykał się w lesie.

Spojrzałem na nią raptownie. Uniosła dłoń, jakby chciała się przeżegnać.

– A któż to znowu?

– Taki człowiek nieszczęśliwy, zbój, jakiego ziemia święta nie nosiła. On od wojny ludzi mordował, po większości komunistów, ale i zwykłych ludzi na tamten świat wyprawiał. Tyłu już zgładził, że nawet pod amnestie nie podpadał. Jego wspólnicy powychodzili z lasu, odcierpieli i żyją na swobodzie, a on po dziś dzień skrywa się w Borze Sołeckim. W ostatnich czasach to o nim nie słyhać, może gdzie życia dokonał.

– Huniady? Cóż to za dziwny pseudonim?

– A Cyganie go tak przewali. Kiedyś on się inaczej mianował, tak jakoś po partyzanku.

Gdzieś z obojścia wyszedł Ildefons Korsak. Popatrzył smutno na nas, pokiwał głową i zastygł bez ruchu.

– Krępuje się pana – rzekła pani Malwina. – Zaszкодziło mu wczoraj. Bo on, wie pan, na Sybirze...

– Wiem, slyszalem.
– W jakim on, panie, wojsku, biedny, nie sluzyl, jakiego munduru nie nosil... I u cara, swiec panie nad jego dusza, i u Germańcow, i u bolszewikow, i u swoich, Polakow.

Stary Korsak przyniosl siekierę, splunal w suchutkie, brunatne dlonie i jal rabcac rosochaty swierczek.

– Tak, tak – westchnela pani Malwina – dla nas poty zycia, poki pracy.

– Chce spac – rzeklem.

– A niech pan spi. Na zdrowie.

Odeszla w strone ganeczku. Zatrzymala sie tam jakas chwile, przygladajac sie bratu rabiacemu drzewo z gluchym przydechem. Potem wstapila w chlodna ciemnosc domu.

Dom nasz stal na ledwo widocznym pagorku, na oblej skarpie czy raczej na prastarym brzegu rzeki, ktora kiedyś byla potezna, wyzlobila obszerna doline, zanim natura uczynila ja skromna rzeczulka oznaczana nie na kazdej mapie. Lezac w pochylym ogrodzie widzialem pola biegnace stromo ku gorze, ku sloncu, co toczylo sie nisko nad czarnymi swierkami. Srod tych pol lezal, przylegajac ciasno do zbocza, stary klasztor okolony zlotymi klonami. Byl on cichy i zapuszczony, prochniejacy niezliczonymi przybudowkami drewnianymi, sypiacy sie tynkiem, spod ktorego wyzlyzily na swiatlo dzienne czerwone cegly, tak swieze jakby dzisiaz uczynione, i ogromne, nieforemne kamienie z dna starej rzeki. Ale wiedzialem, ze w tym gruzowisku mieszka czterech wiekowych zakonnikow, ze najmłodszy z nich, ulomny, o twarzy schorowanego dziecka, wychodzi czasem do miasteczka, jest poslancem lacujacym ich ze swiatem, ktorego ksztaltow zapomnieli. Wiedzialem tez, ze jedna z cel klasztornych obrócili na muzeum, absurdalne panopticum eksponatow, co zablakaly sie w te strony dziwnym przypadkiem. Ze w szklanych gablotach leza minerały, jakich ziemia tutejsza nigdy nie rodzila, ze na stolach spoczywaja rozgwiadzy i zasuszone ryby z dalekich morz poludniowych. Dlaczego ludzie zakonni, miast zbierac szczatki historii tutejszego regionu i miejscowej wiary, gromadza swieckie dziwy odleglych krain, tego nikt nie wiedzial, aczkolwiek godzil sie z ta anomalia widzac w niej zapewne jakis wyraz zakonniczej tesnoty za utracona doczesnoscia.

Po przeciwniejszej stronie, za torem kolejowym, za lakami i za Solą bylo podobne zbocze, tylko bardziej strome, nad ktorym stawalo latem slonce, czerwone, sposobiace sie do zachodu. Bujna dąbrowa rozpoczynala sie tam Bór Solecki, ktory kiedyś byl puszcza. Srodkiem doliny, wzdluz kolei, lezalo nasze miasteczko pociete piaszczystymi uliczkami bez nazw. Nie mialo ono ryneczka, ani okreslonego porzadku architektonicznego, co nie znaczy, izby pozbawione bylo tradycji i historii. Ogolnie wiadano, ze zamieszkiwali je ludzie roznych religii i jezykow, ze wielokrotnie bylo niszczone i palone, nie majac nigdy sposobnosci okrzepnac w sensowny organizm urbanistyczny.

Patrzylem na Ildefonsa Korsaka, ktory rabal galęzie suchych swierkow. Pracowal w automatycznym rytmie, pozornie bez wysilku, czulem jednak, ze to starcze ciało dziala na zasadzie inercji, ze w kazdej chwili mozna je na zawsze wytracic z ruchu. Na grubych kosciach marszczyla sie brunatna skora, gdzieniegdzie rysowal sie przez moment wężlisty muskul, zebra wycinaly sie jak spazmatycznie rozwarte skrzela minogi. Patrzac na jego prace ulegalem wrazeniu, ze obserwuje agonię zegara, ktorego wahadlo w niedostrzegalny sposob zamiera, wyczerpawszy nagromadzoną siłę.

Nie mogac znieśc tego widoku, odwróciłem sie na drugi bok. Widzialem teraz suche zdżbła wysokich traw, martwe juz i pozbawione sokow. Zakotwiczone w nich nici babiego lata, jak mikroskopijne latawce, chwialy sie pod niezauważalnymi

podmuchami wiatru. Słyszałem jednak ciągle stukot siekiery Korsaka niczym natrętny wyrzut sumienia.

Wstałem więc z posłania, odnalazłem kijek jałowcowy służący do podpierania furtki i wyszedłem na piaszczystą uliczkę porośłą rozchodnikiem. Ruszyłem głównym traktem miasteczka biegnącym równoległe do kolei. Zdawało mi się, że w oknach domów błyszczących niebieskością nieba dostrzegam zarysy twarzy, że ciekawe oczy przeprowadzają mnie tą rozprążoną w słońcu drogą. Jakaś kobiecina, zgięta pod ciężarem nosiłek z wiadrami wody, przystanęła na moment i splunęła ze strachem za siebie.

Przyśpieszyłem kroku, ale rychło poczułem niezmierne zmęczenie, więc stanąłem pod kasztanem. Był tu gęsty cień, na ziemi leżały iglaste owoce spękane bezwstydnie, ukazujące niezwykle materialne, kuszące delikatnym brązem wnętrze. Chciałem już ruszyć dalej, gdy posłyszałem nagle jakiś rumor w sklepie i z ciemnego wnętrza woniejącego mydłem oraz mąką wybiegł na drogę partyzant Jasiu Krupa. Zatrzymał się tu, poprawił zadarty rękaw na wyświechtanej protezie, przygładził włosy i po chwili wahania zawrócił.

– Nie – usłyszałem głos Reginy.

Partyzant coś tłumaczył molestującym tonem.

– Nie – powiedziała znowu Regina.

Szczęknął jakiś słoik, zaszeleściła halka.

– Idź już, no, słyszysz?

– Rozmyśliłem się i nie wyjdę.

– Zachciało się, widzisz go... Lepsi tu przychodzili.

– Jak zechcesz, możemy wyjechać.

– I dokąd to?

– Mam kolegów w Warszawie. Na stanowiskach, w rządzie.

– Dzięki Bogu jestem jeszcze młoda i jako tako wyglądam, nie muszę z byle kim się zadawać.

Coś łupnęło w ciemnym wnętrzu, aż zadrżały szyby.

– A ty mi tu nie stukaj kulasem. Kawaler się znalazł.

Chwilę było cicho, potem zaszeptał partyzant.

– Myślałby kto, że się przestraszę. Powiedziałam: nie i koniec. Wynoś się, bo klient wejdzie i tylko wstydu się najem.

Odezwała się sygnaturka w klasztorze. Jej drobne, krągłe dźwięki staczały się na dół do miasteczka jak paciorki.

– Nie? – spytał partyzant.

– Nie.

– Żebyś tylko później nie żałowała.

– Czego mam żałować, że nie poszłam w krzaki z pijusem?

– A wiesz ty, dlaczego piję?

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć.

Znów napięte milczenie.

– No? – nastaje partyzant. – Dasz odpowiedź?

– Osiemdziesiąt trzy dodać czterdzieści sześć równa się sto dwadzieścia dziewięć, i dodać dwadzieścia siedem...

– Księżniczka z powiatowej spółdzielni spożywców.

Usłyszałem łomot, zduszony krzyk i coś na podobieństwo szybkiego uklepywania ciasta. Na progu sklepu pojawił się partyzant przysypany obficie mąką. Otrząsnął się jak pies po kąpieli i zamyślił dłuższą chwilę, patrząc bezradnie przed siebie. Potem rąbnął protezę w okiennicę sklepową i wyszedł na drogę.

Zdawało mi się, że pójdzie w swoją stronę, lecz widocznie wiedział o mojej obecności, gdyż nagle skręcił w gęsty cień drzewa.

– Słyszał pan? – rzekł znacząco.

Milczałem.

– Musiał pan chyba słyszeć?

– Boli mnie wszystko, ledwo żyję – powiedziałem cicho.

– Myśli pan: po co ona tu przyjechała? Namotać frajera. Mąż ją rzucił, z taką jedną gimnazjalistką wywiązał, do dziś rozwodu jeszcze nie ma. A popatrz pan, jakie fanaberie. Co wieczór lata po wszystkich sąsiednich koloniach i zaściankach, okazji szuka. Siądzie zawsze sama, mina taka, że prostemu Polakowi ani przystąpi. Dyżuruje. Czeka na szczęście.

– Muszę już iść. Przepraszam.

– Gdzież to znowu szanownego pana niesie? Dopiero co pan wrócił przy ludzkiej pomocy z dalekiej podróży.

Patrzyłem na swoje bose stopy zanurzone w ciepłym jak popiół piasku. Stadko wróbli szamotało się nieopodal pośrodku sypkiej koleiny. Sygnaturka umilkła, ale jej echo błąkało się jeszcze w dąbrowie na drugiej stronie rzeki.

Partyzant podniósł do góry obsypaną mącznym pyłem protezę.

– Patrz pan. Piętnaście lat temu stawiano mi za to wódkę, goszczono w każdym domu, dziewczyny przebierały nogami, żebym tylko popatrzył łaskawie. Wtedy to był skarb. Czarodziejska różdżka. Można powiedzieć, relikwia.

Rozgrzebałem nogą piasek, jałem coś niezdarnego rysować wielkim palcem, stopy.

– No spójrz pan, nieznany przechodniu – rzekł partyzant przysuwając mi pod nos skórzaną pięść. – Niech pan nie opuszcza wzroku jak wszyscy. Ja przyzwyczajony. Mnie to nie krępuje. Nauczyłem się płacić za piękne oszpecenie.

– Niech pan tak nie mówi – rzekłem z trudem.

– Myśli pan, że jestem podchmielony? To przez tę sukę. Gdybym sam do niej chodził, gdybym nadszakiwał... Ale to ona. Nie przejdzie, żeby tyłkiem nie zakręcić, nie spojrzeć, żeby wzrokiem nie przykłamać.

Jakaś furmanka wlokła się drogą. Koń uporczywie oganiał się ogonem przed gżami, które towarzyszyły mu w tej sennej podróży. Na grochowinach spał furman w baraniej czapie, obok niego siedziało dziecko z wielkimi oczami pełnymi światła.

– Czy pan słyszał o Huniady? – spytałem naraz.

– O Huniady?

Patrzył teraz w ziemię, na ten rysunek koślawy przede mną.

– O Huniady? Słyszałem. Kto nie słyszał. On tu przyszedł ze wschodu. Był czas, kiedy rządził powiatem.

– Skąd ten dziwny pseudonim?

– Podobno to węgierskie słowo, może cygańskie. A po co to panu wiedzieć?

Wyszukałem papierosa, długo i uważnie pocierałem zapalną.

– Sam nie wiem.

– Dawniej go ludzie nienawidzili, teraz przestali. Ostatnio nie pokazywał się, ale mówią, że on żyje w Borze Sołeckim. Lepiej by mu już było rąk i nóg nie mieć. Ech, nażyliśmy się sobie...

Rąbnął protezę w pień drzewa i poszedł środkiem drogi wzbudzając tumany kurzu. Oczekałem, aż z głuchym łoskotem spadnie jeszcze jeden kasztan. Powlokłem się w stronę torów kolejowych.

W budynku, gdzie mieścił się komitet partii, stał mężczyzna na balkonie. Ubrany tylko w koszulę, rozchełstana na piersiach, patrzył posepnie na ciche, zamarte w bezruchu miasteczko. Wiedziałem, że nazywa się Szafir.

Czułem jego wzrok, gdy przekraczałem zardzewiałe szyny, po których od lat, od czasów wojny, nie przetoczył się żaden pociąg. Pomiędzy szutrem obeschłym z olejów, obmytym z sadzy, rosły wybujałe zielsko i przekwitające, suche bławatki.

Minąłem kilka rzadko rozrzuconych domków, które można by uznać za przedmieście, minąłem budynek z oknami zabitymi na głucho, budynek-pomnik, budynek-wyrzut sumienia. Należał on w latach przedwojennych do zamożnej rodziny żydowskiej, która zginęła potem od Niemców. Później nabyli go pewni handlarze, których zastrzelono partyzancką kulą. Po wojnie stało w nim wojsko, następnie odkupił ktoś, komu żona umarła. Więc wyjechał, jak powiadano, za granicę, dom został bez właściciela, stał się instytucjonalnym przedmiotem wspomnień, przestróg i sentencji określających istotę życia.

Nieopodał rzeki, na pagórze, wśród krzewów, garbiło się pod ogromnym dachem spore zabudowanie. Rosła przy nim wysoka jarzębina cała czerwona od jagód.

Szedłem drogą uczynioną z grubego piasku rzeczno, która wiodła do brzegów Soły, do mostu, co go nigdy nie wybudowano. Z lewej strony, nad żarzącym się torfowiskiem, filował przeźroczysty dym. Posłyszałem już monotonne gadanie rzeki.

Toczyła się w głębokim parowie ściśnięta szpalerami olszyn. Pod lustrem wody widziałem długie w nieskończoność brody wodorostów i zielone kamienie wygładzone przez nurt.

Po drugiej stronie ktoś chciał wejść do wody, lecz zesunął się na mokrym czarnoziemiu i łamiąc pokrzywy zjeżdżał teraz do rzeki. Zapadł się po szyję wzbijając tęczowe bryzgi, chwilę tak trwał jakby zażywając zdrowotnej kąpieli, a potem nagle poderwał się i z niezwykłą żywością jął pokonywać bystry nurt ślizgając się w omszałych kamieniach.

Na mój brzeg wygramolił się doszczętnie zmoknięty Romuś. Podskoczył raz i drugi na lewej nodze, chcąc wytrząsnąć z ucha wodę.

– Och żesz ty dmuchana w plankton, bodaj cię psy wypily – bluzgnął przekleństwami na Bogu ducha winną rzekę.

Potem dostrzegł mnie.

– Pan już zdrowy?

– Jak widzisz.

– A ja, cholera, leciałem z nowiną. No i masz, bądź tu dobry dla ludzi. Przyjdzie teraz tydzień kielbami smarkać.

Wyjął wodę z nogawek i spojrzał na mnie podejrzliwie.

– A pan nieciekawy?

– Nie wiem, boli mnie głowa.

– Bór Sołecki będą wycinać.

– Taki wielki las?

– Nie, tylko tę część od rzeki. Mierzą dziś geometrzy, nadleśniczy przyjechał.

– To co to za nowina?

– Widać, że pan słabuje. Wycinają, bo Soła będzie tu przegrodzona, woda podniesie się i zatopi ten kawałek, co go wytną.

– Mh.

– Oj, pan jeszcze kiepski. Po tamtej stronie las, a po naszej? Teraz pan rozumie. Lasu to może i nie szkoda. Przeklęty bór, tam pełno mogił, niektóre jeszcze z pierwszej wojny, ale najwięcej z ostatniej. Bo tu Niemcy coś budowali po kryjomu, coś tu miało być ważnego. Podprowadzili kolej, drogi sypali, w borze bunkry postavili. Jednak czasu im nie starczyło. Kiedy ruscy następowali, to oni tych wszystkich ludzi, co tu pracowali, jednej nocy pobili i zasypali w rowach. Lepiej może, żeby ten bór zginął. Ale naszego miasteczka szkoda. Każdemu będzie szkoda.

Patrzyłem na wodę, która niosła w sobie odbicie nieba i drzew nadbrzeżnych. Czasem jakaś ryba skoczyła za muszką wzbudzając na krótką chwilę cienkie pierścionki fal.

– Pan nietutejszy – rzekł niechętnie Romuś – panu wszystko jedno.

Splunął zielonym wodorostem i ledwo dostrzegalnie jął oddalać się w stronę miasteczka.

Rzeka dudliła w czarnych korzeniach, które ostatkiem sił trzymały się brzegu. Ławice drobniotkich ryb, powodowane nieznanymi impulsami, płynęły zygzakiem po płyciźnie, to przystając na moment, to rzucając się w bok gwałtownym zrywem. W niespokojnym nurcie szamotały się pojedyncze liście klonów podbite czerwienią.

Spostrzegłem nagle pomiędzy wodorostami coś jak ostrze noża mżące słabym blaskiem. Patrzyłem na ten skrawek światła i coś mnie kusiło, żeby wydobyć ów nieznaną okruczność z wody. Wreszcie uległem dziwnej ciekawości i trzymając się jedną ręką olszyny, drugą, przedłużoną jałowcowym kijem, jałem manipulować w gęstych niczym włosy wodorostach. Wreszcie wygrzebałem na brzeg niewielki przedmiot grubo zarośnięty rdzą, albo mułem, luskający metaliczną krawędzią.

Był to krzyż, trochę ruski w kształcie, z okrągłą rozetą przy spojeniu ramion, a w niej dostrzegłem zarys odcisniętej głowy Chrystusa o ogromnych bizantyjskich oczach. Wzdłuż ramion z jednej i drugiej strony biegły jakieś napisy i ujęta ramką data: 1863.

Nabrałem piachu, przeczyściłem nim krzyż. Dopiero wtedy ujrzałem wyraźniej tłoczone cyrylicą słowa: „Gospodi spasi ljudi twoja”.

Wydało mi się, że ostatnie słowa ktoś powtórzył za mną. Odwróciłem się szybko i dziwny chłód przylgnął mi do pleców.

Na szczycie nieukończonych drogi, którą usypano z piasku rzeczno, stał mężczyzna, wysoki, czarniawy, o bardzo ciemnych oczach. Uśmiechał się, ale tylko samymi ustami. Patrzył natrętnie z głębokich oczodołów, a ja czułem, że ręce mi drżą i coś mi ściska skronie całą siłą.

Znałem dobrze tę twarz, pamiętałem ją wiele lat, śniła mi się nocami, kiedy za oknem huczał deszcz i wiatr, kiedy ścigały mnie mary senne.

– To medalik powstańczy z 1863 roku – powiedział. – Kozacy rozbili tu kiedyś ostatni oddział. Ostatnią partię, jak wtedy mówiono. Powstańcy przed śmiercią wrzucili do Soły wszystko, co chcieli uchronić przed wrogiem. Ludzie znajdują czasem w wodzie kule, ułamki broni, prymitywne matryce drukarskie, części uprząży, nawet zwykłe guziki wojskowe.

– Dzień dobry – ukloniłam się niezręcznie. – Powinienem się przedstawić.

– Znam pana. Przypuszczam, że pan o mnie również słyszał.

Stałem w głębokim, mokrym cieniu. Widziałem go wysoko w górze, na jego głowie i pochylonych barkach leżało czerwone światło słońca.

Z trudem powstrzymałem się, aby mu nie powiedzieć, że go znam, że go pamiętam, że nie mogę się od niego uwolnić.

– A więc to pan – rzekł.

– Jestem chory. Bardzo źle się czuję – odparłem cicho.

– Przecież ja od pana nic nie chcę – uśmiechnął się znowu ustami. – A tam, za torfowiskiem, jest kurhan powstańczy. Widzi pan, taka już nasza ziemia: gdzie stąpnąć, wszędzie mogiły.

Milczałem.

– Pan do nas na długo? – spytał po chwili.

– Nie wiem. Sam nie wiem. Jestem chory.

– Tak, słyszałem.

– Co pan słyszał? – spytałem z bijącym sercem.

Zastanawiał się przez moment.

– Że pan się źle czuje.

– Ludzie głupstwa plotą. Jak to w małym miasteczku...

– Tak, komu niedobrze, szuka pociechy w cudzym nieszczęściu.

Gdzieś z drzewa nade mną oderwał się liść. Szybował długo okręcając się wokół własnej osi, aż osiadł wreszcie na wodzie i popłynął w ciemną czeluść jaru.

Odprowadziliśmy go wzrokiem.

– Gdyby czasem było panu nudno, to bardzo prosimy do nas. Mieszkamy tu nieopodal.

– Dziękuję bardzo. Będę pamiętał.

Zastanowiła mnie ta liczba mnoga, w którą ubrał zaprosiny.

Odwrócił się raptownie i zniknął za żółtym garbem niedokończonej drogi.

Dopiero teraz spostrzegłem, że ściskam w obu dłoniach ociekający wodą krzyż.

Wsadziłem go za koszulę i na czworakach, kryjąc się w dusznym od zapachu mięty zielsku, jałem wspinać się na brzeg.

Spostrzegłem go, jak wstępował ścieżką na pagór, gdzie stał dom z ogromnym dachem, a obok była czerwona jarzębina niczym trwale znamię przyjaznych intencji gospodarza.

Spomiędzy rudziejących krzewów wyszła mu naprzeciw szczupła postać kobieca. On ją objął ramieniem i tak spleceni uściskiem weszli do swego domu.

Kiedy pod wieczór pani Malwina wyszła przed ganek, leżałem w ogrodzie patrząc na stygnące niebo. Była ubrana odświętnie, w oczach miała jakieś skupienie i powagę.

– A pan nie pójdzie z nami się modlić? – spytała.

– Przecież pani wie, że ja się nie modlę.

– Nikogo nie przymuszamy. Ale panu modlitwa potrzebna.

W progu stanął Ildefons Korsak. I on był gotów do drogi. W ogromnych dłoniach, skupiających sens jego istnienia, trzymał zniszczony kajet szkolny.

– No to pora iść – rzekła.

Ruszyli drogą w stronę kolei, odprowadzani przeźrocystym dźwiękiem sygnaturki, która odezwała się w klasztorze. Zakonnicy żegnali dzień.

Wstałem i ja. Zostawiłem za sobą pusty dom.

Nad rzeką powstawał cienki, smużysty opar. Obok drogi prowadzącej do nikąd zebrał się niewielki tłum. Zatrzymałem się koło zabitego deskami domostwa. Widziałem stąd zakosy rzeki skrytej w mroku, wyschnięte łąki i rdzawe liszaje rozżarzonego torfu.

Ludzie klęczeli wokół Józefa Cara, który coś mówił stojąc nieruchomo pomiędzy wiernymi. Śród nich dostrzegłem i partyzanta, i hrabiego Paca, i Reginę z opuszczoną w zapamiętaniu głową, i Korsaków wpatrzonych z uwielbieniem w mówcę. Przy skraju tłumy pół leżał, pół klęczał Romuś. Na drodze stał torowy, niezdecydowany kibic-obszernik.

Obok Józefa Cara widziałem smukłą postać kobiecą. Zdawało mi się, że patrzy w moją stronę, na przeciwległy stok doliny, którego szczyt rumienił się jeszcze ostatnim refleksem niewidocznego już słońca.

Poczułem czyjś ciężki oddech za swoimi plecami. Odwróciłem się, stał tu sierżant Główny, spocony, pokryty gęstym kurzem.

– O! ciemnota – zarzucił haczyk.

Nie odpowiedziałem.

Uznał to widocznie za dezaprobatę, gdyż rzekł ugodowo:

– Moja też tam klęczy. Wróciłem do domu, a tu, z przeproszeniem, żywej duszy.

Ani umyć się, ani podjeść.

Milczałem.

– Taka widać ludzka natura.

Nagle modlący pochylili się niżej, czołami prawie dotknęli suchej i zimnej ziemi. W tym momencie przybiegł do nas stamtąd posępny, jękliwy śpiew:

Idziemy wciąż do Boga, idziemy wciąż do Boga.
Przez smutek, rozpacz i zwątpienie.
A coraz dłuższa moja znojna droga.
A coraz cięższe me sumienie.

Później zaczęli schodzić ku rzece, zginęli w czarnym jarze. Słysząc było tam jakieś okrzyki, wzmożony bełkot wody. Józef Car zeszedł także do nich.

Szczupła kobieta ruszyła w stronę domu. Na pagórku zatrzymała się przez chwilę. Patrzyła w naszą stronę. Uniosłem rękę, aby w nagłym impulsie pozdrowić ją. Lecz wydało mi się to raptem niestosowne.

Kobieta zniknęła w swoim domu, który wyróżniała spomiędzy innych czerwona jarzębina.

Mogło się wydawać, że w tym niezwykłym upale szyny, czerpiąc skądś energię, stały się samodzielnym grzejnikiem. Hrabia Pac, obuty w ażurowe sandały, już dwukrotnie nastąpił na pogubione mutry. Skacząc na jednej nodze mruczał coś do siebie, a my chciwie łowiliśmy ten bulgot zbudowany z nieartykułowanej dezaprobaty.

– Kipniemy przy tej robocie – rzekł partyzant. – To już osiemdziesiąta śruba. Nigdy więcej nie pojedą pociągami.

– Uważam, że to w ogóle dwuznaczne zajęcie – odezwał się hrabia. – Komu przyszło do głowy, aby w takiej dziurze budować bocznice? Przecież tu żaden pociąg nie dojedzie.

– Hrabio, czy nie może pan dyszeć w inną stronę? Całe plecy mam mokre – partyzant odsunął się z niesmakiem.

Pac zaczerwienił się.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI